

Wspierała mnie wiara w Boga

OPOWIADA HARALD ABT



WE WRZEŚNIU roku 1940 wysłano mnie do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen na terenie Niemiec. Tamtejsi funkcjonariusze SS (elitarnej formacji ochrony ustroju hitlerowskiego) zgotowali mi „gorące” przyjęcie; składały się na to groźby na przemian z biciem. Jeden z oficerów, wskazując na komin pobliskiego krematorium, zapowiedział: „Jeżeli będziesz się upierał przy swojej wierze, to w ciągu 14 dni polecisz tamtędy do twego Jehowy”.

Następnie zaprowadzono mnie na miejsce, gdzie byli przetrzymywani moi chrześcijańscy bracia, Świadkowie Jehowy. Kazano mi przykucnąć z rękoma wyciągniętymi do przodu. Musiałem trwać w tej niewygodnej pozycji przez cztery godziny. Jakąż ulgę sprawił mi o szóstej po południu widok Świadków Jehowy wracających po ciężkim dniu pracy!

Bracia ci opowiedzieli mi, że było ich tam już około czterechset, ale poprzedniej zimy 130 zmarło wskutek nieludzkiego traktowania. Czy to przerażało tych, którzy przeżyli? Nie, byli podobnie jak i ja zdecydowani dochować wierności Bogu.

Zanim jednak opowiem więcej na temat moich prawie pięciu lat spędzonych w obozach koncentracyjnych Sachsenhausen i Buchenwald, spróbuję pokrótce opisać, jak do tego doszło, że mnie tam posłano.

TRUDNE CZASY DLA CHRZEŚCIJAN

Urodziłem się w południowej Polsce, w tej jej części, która była pod zaborem austriackim; od dzieciństwa znałem więc dwa języki: polski i niemiecki. W roku 1931, mając 19 lat, zapisałem się na Politechnikę Gdańską. W tym okresie Gdańsk był niemieckojęzycznym „wolnym miastem” portowym. Tam też w 1934 roku poznałem Elżbietę, młodą kobietę, która miała odegrać znaczną rolę w moim życiu.

W roku 1936, gdy przygotowywałem się do egzaminów końcowych, Elżbieta zaczęła chodzić na zebrania Świadków Jehowy. Odkąd niektórzy z nich byli aresztowani, przeprowadzano je w ukryciu. Powiedziałem Elżbiecie wyraźnie, że moim zdaniem nie ma sensu zadawać się z takimi ludźmi. W końcu jednak namówiła mnie do pójścia z nią na jedno z tych zebrań. Nie znalazłem żadnej podstawy do krytyki, przeciwnie, zdumiała mnie wiedza biblijna Świadków Jehowy.

Mimo ukończenia studiów nie mogłem znaleźć dobrej posady w Polsce. Pomyślałem więc o wyjeździe za pracą do Niemiec. Elżbieta jednak oznajmiła: „Jeżeli pojedziesz, to beze mnie”. Świadkowie Jehowy byli w Niemczech już srogo prześladowani i nie chciała się narażać bez potrzeby. Zastanowiłem się nad tym głębiej i zacząłem bardziej systematycznie studiować Pismo Święte. Pobraliśmy się w czerwcu 1938 roku. Potem na początku roku 1939 oboje z Elżą zostaliśmy ochrzczeni, symbolizując w ten sposób nasze oddanie się Jehowie Bogu.

Do tego czasu zdążyłem uzyskać dobrą pracę jako inżynier w zarządzie portu gdańskiego. Pięknie urządziliśmy sobie mieszkanie, które udostępnialiśmy na zebrania w celu studiowania Biblii. W tym okresie przechwytywano już w Gdańsku literaturę biblijną, nadsyłaną z polskiego biura oddziału Towarzystwa Strażnica w Łodzi. Doszedłem do przekonania, że powinienem w tej sprawie coś zrobić. Napisałem do braci w Łodzi list z propozycją, aby literaturę dostarczali na jakiś adres w pobliżu Gdańska. Razem z żoną będę ją zabierał stamtąd i przemycił do miasta.

Elżbieta była wówczas w ciąży, a pod odzieniem miała nieraz do 100 egzemplarzy *Strażnicy*. Kiedyś celnik zażartował: „Chłopie, tobie chyba szykują się trojaczki!” Nie zdarzyło się jednak, żeby ją poddano rewizji osobistej. Przenoszenie literatury trwało do czasu, gdy 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, po czym ograniczyły się możliwości przekraczania granicy miasta Gdańska. Dnia 24 września urodziła się nam córka Juta.

ODDAWAĆ CZEŚĆ HITLEROWI?

Po poddaniu się garnizonu polskiego Niemcom mogłem powrócić do pracy. Kiedy wszedłszy powiedziałem „dzień dobry”, koledzy popatrzyli na mnie ze zdumieniem; teraz od każdego oczekiwano, żeby wołał: „Heil Hitler!”

Poprosiłem o rozmowę z zastępcą dyrektora zarządu portu i wyjaśniłem mu, że jestem chrześcijaninem, wobec czego nie mogę nikogo w ten sposób pozdrowić. Odparł mi: „Przecież ja też jestem chrześcijaninem”. Dodałem jednak, że jestem chrześcijaninem w ścisłym znaczeniu tego słowa i uważam za niestosowne, by tak oddawać cześć człowiekowi. Otrzymałem natychmiastowe zwolnienie z pracy, a do tego radę, że jeśli nie będę mówił „Heil Hitler”, niechybnie doigram się więzienia.

Pod koniec września, gdy armia niemiecka zajęła Polskę, do Gdańska przyjechał Hitler. Na głównym placu wygłosił płomienną mowę z okazji zwycięstwa. Mieszkaliśmy całkiem blisko tego miejsca. Każdy miał w swoich oknach wywiesić flagi, lecz na zajmowanym przez nas piętrze budynku nie było ani jednej!

Bracia podsunęli nam myśl, żebyśmy dla własnego bezpieczeństwa raczej wyjechali na wschodnie tereny Polski. Oznaczało to bądź co bądź pozostawienie

całego naszego dobytku. W miesiącu grudniu, mając ze sobą tylko walizkę, wózek dziecięcy i Jutę zawiniętą w poduszkę, wyruszyliśmy w tę daleką podróż. Pociągi były przepełnione i jeździły nieregularnie.

Po pewnym czasie dotarliśmy do Łodzi i odnaleźliśmy dom, gdzie się mieściło biuro oddziału. Siostra, która otworzyła drzwi, zobaczywszy nieruchome dziecko na ręku Elżbiety, uciekła z płaczem. Po chwili wróciła i gdy zobaczyła, że dziecko się porusza, krzyknęła: „Ach, jednak żyje! Przecież żyje!” Dopiero wtedy zaprosiła nas do środka. Wiele dzieci uchodźców zamarzło wówczas na śmierć; dlatego pomyślała, że również Juta niestety umarła.

ARESZTOWANIE I UWIĘZIENIE

Mąż tej siostry był już zabrany do więzienia. Mieliśmy doprawdy ciężką zimę. Nie było nawet węgla, żeby ogrzać mieszkanie lub chociaż ugotować tę odrobinę jedzenia, którą się udało zdobyć. Wreszcie znalazłem pracę. Ale pewnego dnia w lipcu 1940 roku gestapo (tajna policja hitlerowska) natknęło się na nas w mieszkaniu, poszukując właściwie kogoś innego. Dano mnie i Elżbiecie nakaz stawienia się w komendzie gestapo.

Nazajutrz poszedłem rano do pracy, pozbierałem swoje rzeczy osobiste i powiedziałem szefowi, że muszę się zgłosić do gestapo, wobec czego chyba nie wrócę. „Ależ to głupstwo”, odrzekł. „Nie martw się, do godziny 12 będziesz z powrotem”. Kilka chwil później spotkałem Elżbietę przed wejściem do siedziby gestapo i weszliśmy razem do środka.

„Proszę usiąść”, odezwał się oficer. „Wiemy, dlaczego się tutaj spotykamy”. Następnie przypomniał nam, że Polska znalazła się pod panowaniem Trzeciej Rzeszy Niemieckiej, i podkreślił, co stało się ze Świadkami Jehowy w Niemczech. „Jeżeli państwo dalej będziecie mówić o swojej wierze”, zaznaczył, „to trzeba będzie wysłać was do obozu koncentracyjnego”.

Usiadł potem przy maszynie do pisania i zaczął coś wystukiwać. Później wręczył mi ten papier. Były tam między innymi słowa tej treści: „Ja, niżej podpisany Harald Abt, przyrzekam zaprzestać opowiadania o Królestwie Bożym”. Powiedziałem mu: „Pan wybaczy, ale czegoś takiego nie mogę podpisać”.

Wyzwał mnie za to od różnych głupców i kazał wyprowadzić. Elżbietę jeszcze zatrzymał. W trakcie dalszego przesłuchania wspomniała, że w domu zostało 10-miesięczne dziecko. „Nikt inny nie może nakarmić dziecka”, nadmieniła, „ponieważ karmię je piersią”. Słyszając o tym, oficer odrzekł: „W takim razie załatwimy to krótko”.

Oświadczenie, jakie zredagował w pośpiechu, różniło się od tamtego, którego nie podpisałem. Zawierało jedynie stwierdzenie, że podpisana jest świadoma, iż dalsze praktykowanie jej religii grozi zesłaniem do obozu koncentracyjnego.

Żona uznała, że może je podpisać, bo faktycznie była świadoma tego zagrożenia. Po złożeniu podpisu jednak naszły ją inne myśli. Czego się przelękała? Otóż tego, że po jej zwolnieniu mógłbym dojść do wniosku, iż się wyrzekła wiary. Kiedy więc opuszczała komendę, głośno zawołała do mnie, stojącego na drugim końcu korytarza: „Nie poszłam na kompromis! Nie poszłam na kompromis!”

Przetrzymano mnie kilka tygodni na miejscu, potem wysłano do więzienia w Berlinie, a stamtąd przewieziono do Sachsenhausen.

ŻYCIE W SACHSENHAUSEN

Po wspomnianym „gorącym” przyjęciu esesmani zaprowadzili mnie wraz z innymi do przebrania w odzież więzienną. Zgolono nam włosy, a następnie oznaczono nas numerami — mnie przypadł numer 32 771. Otrzymałem fioletowy trójkąt, aby przyszyć go do ubrania; oznaczano nim Świadków Jehowy. Pozostałym ludziom dano trójkąty rozpoznawcze innego koloru: polityczni nosili czerwone, Żydzi żółte, kryminaliści zielone, homoseksualiści różowe itd. W tej grupie byłem jedynym Świadkiem Jehowy.

Dla Świadków Jehowy przeznaczony był osobny barak. Ogólnie biorąc, baraki w Sachsenhausen były rozmieszczone w kształcie półkola wokół wielkiego placu apelowego. Na ścianach szczytowych zwróconych w stronę placu wymalowano hasło mniej więcej takiej treści: „Droga do wolności wiedzie przez wierność, pilność, pracę i miłość dla ojczyzny”. Na poszczególnych barakach znajdowało się jedno lub dwa słowa z tego napisu. Na barak Świadków Jehowy przypadł wyraz MIŁOŚĆ. Pod nim właśnie kuciałem na zimnie przez cztery godziny.

W każdym z tych olbrzymich baraków — a postawiono ich ponad 60 — wydzielone były dwa pomieszczenia do spania; pomiędzy nimi znajdowała się jadalnia, były ustępy i umywalnie. Sypialnie po obu stronach były nieogrzewane, a prycze w nich trzypiętrowe. Zimą temperatura nieraz spadała nawet do -18°C, a my mieliśmy jedynie po dwa łyche koce. Para wodna wydychana przez ludzi skraplała się na suficie, a następnie kapiała i zamarała na kocach osób śpiących na samej górze.

Żywiono nas przeważnie zupą z brukwi, niekiedy gotowano w niej także łby końskie. Od czasu do czasu trafiała się zupa rybna, ale o tak przykrych woniach, że cuchnęło w całym obozie! Wieczorem dawano po kawałku chleba. Ponieważ śniadanie składało się jedynie z namiastki kawy, zostawiałem sobie zawsze trochę chleba na rano, bo inaczej z głodu dostawałem bólów brzucha.

Wstawać trzeba było o 6 rano, zasłać łóżka, umyć się i ubrać, potem ustawić się na placu apelowym do sprawdzenia obecności i odmaszerować do pracy. Duża część pracy była wykonywana poza obozem. Najpierw przydzielono mnie

do budowy dróg. Później ze względu na wykształcenie inżyniera dali mnie do nadzoru technicznego nad budową nowych warsztatów.

Wielu esesowców postępowało wręcz okrutnie; często po prostu wypatrywali sposobności, by się znęcać. Jeden z nich przychodził czasem, gdy byliśmy w pracy, i szukał kurzu w barakach. Zazwyczaj udawało mu się coś znaleźć, na przykład na krokwiach dachowych, czemu nie można się dziwić, skoro w pomieszczeniu znajdowało się 80 sienników ze słomą. Kiedy wracaliśmy z pracy, oznajmiał: „Znalazłem dziś rano kurz w waszym baraku, nie dostaniecie więc obiadu”. Wtedy zdejmowano pokrywy, żeby nas doleciał zapach, i wynoszono kotły. Wszelki protest byłby ukarany śmiercią.

W Sachsenhausen nigdy człowiek nie był pewien swego życia. Kto jakkolwiek drobnostką zwrócił na siebie uwagę wartownika, musiał się liczyć z karą. Niejednemu kazano na przykład stać przed barakiem cały dzień zimą na mrozie. Jeżeli ktoś dostał gorączki — a wielu przecież nabawiło się zapalenia płuc — i nie mógł iść do pracy, esesman mówił: „Ach tak, on ma gorączkę! Dobra, niech postoi na mrozie i się ochłodzi”. Sporo ludzi od tego umarło.

Inni zginęli w taki sposób: Kazano im siąść na dworze do szaflika z zimną wodą i skierowano strumień zimnej wody na klatkę piersiową w okolice serca. Wobec tego rodzaju nieludzkiego traktowania nigdy nie było wiadomo, czy się przeżyje do następnej wiosny.

Wielu pytało mnie: „Czy bardzo się wtedy bałeś?” Nie, bo kiedy jesteś w takiej sytuacji, siły dodaje ci twoja wiara. Jehowa cię wspiera. Przy stołach w czasie obiadu, gdy nie było obcych w pobliżu, modliliśmy się razem, a nawet śpiewaliśmy po cichu pieśni. Kiedy na przykład słyszeliśmy, że znowu ktoś z braci umarł zamęczony lub wskutek wycieńczenia, śpiewaliśmy pieśń tchnącą duchem bojowym. Mówiliśmy sobie: Stój mocno! Bądź mężny! Wiedzieliśmy, że i my możemy wkrótce umrzeć, toteż chcieliśmy dawać wyraz swemu silnemu postanowieniu, by wytrwać w wierze.

POKARM DUCHOWY I GŁOSZENIE

Warunki poprawiły się nam trochę w roku 1942. Przesłano nowego komendanta obozu i odczuliśmy małą ulgę. Nie kazano nam już pracować w niedzielę. Mniej więcej w tym czasie udało się też przemyścić do obozu siedem numerów *Strażnic*, omawiających prorocтва Daniela. Zdobyliśmy ponadto kilka Biblii. Dlatego w niedzielę po południu schodziliśmy się w jednym ze skrzydeł baraku dla studiowania Biblii; było nas około 200 osób. Kilku pilnowało na zewnątrz, aby dać znać, gdyby zbliżał się ktoś ze straży SS. Do dziś pamiętam dobrze te dodające otuchy, krzepiące wiarę zebrania.

Ktoś mógłby się zdziwić: przemycono *Strażnicę*? Samo w sobie jest to historia dowodząca wiary i odwagi. Niektórzy więźniowie spośród Świadków

Jehowy pracowali poza obozem i udało im się skontaktować z braćmi, jacy jeszcze byli na wolności. Ci więc potajemnie zdobywali trochę literatury biblijnej i przynosili ją na teren obozu. Brat Seliger, który pełnił w naszym gronie jak gdyby funkcję nadzorcy, pracował w izbie chorych i tam w łazni za kafelkami chował nasze skarby.

W końcu jednak zauważono, że jesteśmy dobrze zorganizowani. Znalaziono również w naszym baraku parę Biblii. W związku z tym około 80 braci przydzielono do pozamiejscowych brygad roboczych i wywieziono z Sachsenhausen. Pozostałych Świadków Jehowy rozdzielono do różnych baraków na terenie obozu. Wprawdzie uniemożliwiło to nam zbieranie się w większej grupie, niemniej jednak dawało o wiele więcej sposobności do głoszenia współwięźniom.

Sporo młodych Rosjan, Ukraińców i Polaków dało posłuch prawdzie i zostało Świadkami Jehowy. Niektórych dało się potajemnie ochrzcić na terenie samego obozu — w wannie należącej do izby chorych. Pamiętam zwłaszcza dwóch Ukraińców, którzy pewnego razu słyszeli, jak brat gwiżdże sobie pieśń Królestwa, i zainteresowali się melodią. „To jest pieśń religijna”, wyjaśnił brat. Byli zaskoczeni wiadomością, że w obozie są ludzie, którzy się w nim znaleźli z powodu swoich przekonań religijnych. Po wyzwoleniu jeden z tych młodych mężczyzn bardzo aktywnie uczestniczył w działalności świadczenia na wschodnich obszarach Polski. Zamordowali go potem wrogowie Świadków Jehowy akurat w drodze na zebranie chrześcijańskie, które miał przeprowadzić.

Pewnego dnia roku 1944 maszerowałem w swej kolumnie roboczej na południowy posiłek, gdy spostrzegłem braci ustawionych osobno na dziedzińcu. Kiedy rozpoznano, że i ja jestem Świadkiem Jehowy, kazano mi się ustawić przy nich. Funkcjonariusze SS w jakiś sposób dowiedzieli się o naszych tajnych kontaktach z innymi obozami i z tak zwaną wolnością. Wiedzieli również o tym, że spotykamy się na placu apelowym w małych grupkach po dwóch lub trzech dla rozważenia tekstu dziennego z Biblii. Surowo nakazano nam zaprzestać tej nielegalnej działalności, ale my jak jeden mąż byliśmy zdecydowani nadal krzepić jeden drugiego pod względem duchowym. Kiedy brata Seligera, który był jednym z głównych ogniw naszej tajnej poczty, zapytano, czy dalej zamierza głosić na terenie obozu, odpowiedział: „Oczywiście, takie właśnie mam postanowienie, i nie tylko ja, ale też wszyscy moi bracia”. Duchu wiary i odwagi, którego posiadali Świadkowie Jehowy, najwyraźniej nie dało się załamać, a hitlerowcy przekonali się jeszcze raz, że nic nie zdoła naruszyć naszej lojalności wobec Boga.

BUCHENWALD I WYZWOLENIE

Pod koniec października 1944 roku przetransportowano mnie razem z brygadą budowlaną do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Mieliśmy

odbudować kilka warsztatów zbombardowanych podczas nalotów amerykańskich. Bracia z tego obozu wnet skontaktowali się ze mną i chętnie przyjęli mnie do swego grona. Tutaj byłem numerem 76 667.

Na początku roku 1945 nie dawało się już ukryć, że to reżim hitlerowski jest bliski załamania. Angielskie samoloty myśliwskie, przelatując nad obozem, pozdrowiały nas kołysząc skrzydłami dla dodania więźniom otuchy. Przez ostatnie dwa tygodnie przed uwolnieniem nawet nie pędzono nas do pracy.

W środę, 11 kwietnia 1945 roku, zgromadziliśmy się, aby wysłuchać brata, który w swoim przemówieniu omawiał wszystkie biblijne hasła roczne poczynając od roku 1933, kiedy Hitler przechwycił władzę, do roku 1945. Podczas tego zebrania słyszeliśmy odgłosy zbliżającego się frontu. Jeszcze w trakcie przemówienia któryś z więźniów otworzył szeroko drzwi i krzyknął: „Jesteśmy wolni! Jesteśmy wolni!” W obozie powstał chaos, my jednak zwróciliśmy się do Jehowy z dziękczynną modlitwą i kontynuowaliśmy nasze zebranie.

W Buchenwaldzie znajdowało się jeszcze ponad 20 000 więźniów. Wartownicy SS zrzucali mundury i próbowali uciekać, natomiast wielu więźniów mściło się na nich. Później jeden z więźniów opowiadał mi, jak sam wbił nóż w brzuch pewnego esesmana. Świadkowie Jehowy oczywiście nie brali udziału w aktach przemocy.

Jakiś miesiąc później odnalazłem w końcu Elżbietę. Przeżyła Oświęcim i pobyt w innych obozach koncentracyjnych. Powróciliśmy do domu w sierpniu roku 1945 i nastąpiło spotkanie z córką u pewnej rodziny naszych braci, którzy się nią zaopiekowali. Miała już blisko 6 lat i nie poznała nas.

ZAWSZE BEZ KOMPROMISU

Po wyzwoleniu z okupacji niemieckiej Polska stała się Rzeczpospolitą Ludową. Razem z żoną od razu zgłosiliśmy się do dyspozycji biura oddziału Towarzystwa Strażnica w Łodzi. Pracowaliśmy tam pięć lat, obserwując z radością, jak liczba głosicieli wzrastała z 2000 w roku 1945 do około 18 000 w roku 1950. W okresie po 1950 roku dalej służyliśmy na różnych odcinkach przydzielonych nam przez organizację Jehowy, zdecydowani zawsze trwać mocno w wierze.

Z racji wiary w Boga spędziłem ogółem 14 lat swego życia w obozach koncentracyjnych i więzieniach. Pytano mnie: „Czy twoja żona była ci pomocą do przetrwania tego wszystkiego?” Na pewno! Wiedziałem od początku, że ona nigdy nie wyrzekłaby się wiary, i ta świadomość mnie wspierała. Wiedziałem, że wolałaby mnie widzieć leżącego na marach niż wolnego za cenę kompromisu. Mieć taką dzielną partnerkę życia to prawdziwa pomoc. Elżbieta też przeszła wiele w niemieckich obozach koncentracyjnych i myślę, że poznanie kilku z jej przeżyć podniesie was na duchu.

Trwanie w wierze wraz z mężem

OPOWIADA ELŻBIETA ABT



HARALDOWI podczas pobytu w Sachsenhausen pozwalano od czasu do czasu napisać list obejmujący zaledwie pięć linijek treści. Odbita na nim pieczętka zawiadamiała: „Więzień pozostaje niepoprawnym Badaczem Pisma Świętego, toteż nie przysługuje mu prawo do prowadzenia normalnej korespondencji”. Stempel ten był zawsze dla mnie pocieszeniem, gdyż dowodził, że mąż mój trwa mocno w wierze.

Pewnego dnia w maju 1942 roku, wracając z pracy do domu, zastałam czekających na mnie gestapowców. Przeszukali mieszkanie, a następnie kazali mi włożyć płaszcz i pójść z nimi. Nasza córeczka Jutta podeszła do jednego z nich, niezwykle wysokiego mężczyzny, i szarpiąc go za nogawkę powiedziała: „Niech pan zostawi moją mamusię!” Ponieważ na to nie zareagował, obeszła jego nogi i z drugiej strony błagała: „Proszę zostawić mi moją mamusię!” Poczuł się trochę nieswojo, ale krzyknął ostro: „Zabierzcie ode mnie to dziecko! Weźcie też jego łóżeczko i różne rzeczy!” Przekazano ją innej rodzinie w tym domu, drzwi opieczętowano, a mnie zabrano na komendę gestapo.

Zobaczyłam tam wiele Świadków Jehowy aresztowanych tego dnia. Zdradziła nas pewna osoba, która się podawała za Świadka Jehowy i wkradła się w zaufanie. Funkcjonariusze gestapo wypytywali, gdzie ukryty jest powielacz i kto przewodzi w podziemnej działalności głoszenia. Udawałam, że nic o takich rzeczach nie wiem. Zostaliśmy wtrąceni do więzienia.

Nasza niezachwiana wiara pokrzyżowała plany gestapo. Kiedyś podczas przesłuchania podszedł do mnie pewien oficer śledczy z zaciśniętymi pięściami i zawołał: „Ludzie, co mamy z wami zrobić?” Dodał potem: „Aresztujemy was, wy się tym nie przejmujecie. Każemy was zamknąć w więzieniu, dla was to niewielkie zmartwienie. Nawet odesłanie do obozu koncentracyjnego jest wam obojętne. Słyszac wyrok śmierci, po prostu dalej stoicie sobie beztrudnie. Co z wami zrobić?”

Po sześciu miesiącach pobytu w więzieniu przetransportowano mnie razem z 11 innymi siostrami chrześcijańskimi do Oświęcimia, gdzie mieścił się osławiony już obóz zagłady.

Początkowo skierowano nas do Brzezinki, jednego z pomocniczych obozów Oświęcimia. Kiedy funkcjonariusz SS stwierdził, iż przywieziono nas za to, że jesteśmy *Bibelforscherami* (Badaczami Pisma Świętego), powiedział: „Na waszym miejscu podpisałbym ten papier i wrócił do domu”.

„Gdybym chciała podpisać mogłam to wcześniej zrobić”, odparłam.

„Ale tutaj zginiecie”, ostrzegł. Odpowiedziałam mu: „Jestem na to przygotowana”.

Następnie porobiono nam zdjęcia, trzeba też było wypełnić jakieś formularze i kwestionariusze. Kiedy czekałyśmy w kolejce do badań lekarskich, zobaczyłam dwóch lekarzy, również więźniów, którzy przyszli popatrzeć na nowo przybyłe. Jeden z nich był o wiele dłużej w obozie niż drugi. Usłyszałam przypadkowo, jak starszy stażem mówił do młodszego: „Badaczy Pisma zawsze można rozpoznać”.

„Naprawdę?” — spytał młodszy trochę niedowierzająco. „Wobec tego niech mi pan pokaże, która w tej grupie jest badaczką”. Minęłam ich już, posuwając się w kolejce, toteż nie mogli zobaczyć mojego fioletowego trójkąta. A jednak, wskazując na mnie, starszy lekarz powiedział: „Ta do nich należy”. Młodszy obszedł mnie, zobaczył fioletowy trójkąt i zawołał: „Ma pan rację! Skąd pan wiedział?”

„Ludzie ci wyglądają inaczej”, wyjaśnił tamten. „Po prostu można ich odróżnić”.

Była to prawda. Rzeczywiście różniliśmy się od innych. Trzymaliśmy się prosto, nie spuszczaaliśmy głowy w dół, nie pokazywaliśmy przygnębienia. Wzrok mieliśmy jasny, bez skrępowania patrzyliśmy drugim w oczy. Byliśmy tam przecież jako *świadkowie na rzecz imienia Jehowy*. Dlatego zachowywaliśmy się inaczej i można to było zauważyć.

W Brzezince nasza grupka 12 siostr była tylko parę dni. Potem zabrano nas do Oświęcimia, do pracy w domach oficerów SS. Nie chcieli oni do tego przeznaczyć nikogo innego, jak tylko Świadków Jehowy; innych obawiali się wpuścić do swoich mieszkań. Wiedzieli, że nie będziemy usiłowały ich otruć; byłyśmy uczciwe i nie okradłybyśmy ich ani nie próbowały uciekać.

ŻYCIE I ŚMIERĆ W OŚWIĘCIMIU

Przez jakiś czas mieszkaliśmy wszystkie na terenie obozu koncentracyjnego; trzymano nas razem z innymi więźniarkami w suterenie dużego murowanego domu. Nadszedł czas przydzielenia nam pracy. Zapytano nas: „Gdzie która chce pracować?” Nie odpowiedziałyśmy ani słowa. „No co, takie jesteście dumne?” — zareagowała na to strażniczka.

„Nie jesteśmy dumne”, odpowiedziała moja przyjaciółka, „ale gdziekolwiek nas dacie, tam będziemy pracowały”. I tej zasady trzymałyśmy się zawsze. Nie chciałyśmy wybierać sobie miejsca pracy, skoro prosiłyśmy Jehowę o kierownictwo. Gdyby warunki okazały się gdzieś zbyt ciężkie wówczas mogłyśmy spokojnie zwrócić się do Niego i prosić: „Jehowo, teraz racz nam pomóc”.

Mnie przydzielono pracę w domu oficera, który mieszkał poza terenem obozu. Miałam za zadanie dbać o czystość domu, pomagać jego żonie przy gotowaniu, opiekować się ich dzieckiem oraz robić zakupy na mieście. Tylko Świadkom Jehowy pozwalano bez eskorty opuszczać obóz, oczywiście z obowiązkiem noszenia na sobie pasiaków więziennych. Po jakimś czasie wydano zgodę na zatrzymywanie się w miejscu pracy i nie musiałyśmy wracać na noc do obozu. Spałam w piwnicy domu owego oficera SS.

Mimo wszystko nie traktowano nas jak ludzi. Kiedy na przykład esesman wzywał mnie do swego gabinetu, musiałam stanąć w drzwiach i powiedzieć: „Aresztantka numer 24 402 prosi o zezwolenie na wejście”. A po otrzymaniu polecenia musiałam mówić: „Aresztantka numer 24 402 prosi o zezwolenie na odejście”. Nigdy nie zawołano nas po imieniu ani po nazwisku.

Podobnie jak do innych obozów, również do Oświęcimia trafiał pokarm duchowy w postaci *Strażnicy* i innych publikacji. Otrzymałam nawet listy od Haraldy. Stały kontakt ze Świadkami Jehowy z zewnątrz udało się zorganizować w następujący sposób:

Niektóre z naszej grupy, a między nimi moja przyjaciółka Gertruda Ott, zostały skierowane do pracy w hotelu, gdzie kwaterowały rodziny esesowców. Pewnego razu Gertruda myła okna, a ulicą przechodziły dwie kobiety; nie patrząc do góry jedna z nich powiedziała: „Jesteśmy także Świadkami Jehowy”. Po chwili wracały i wtedy Gertruda szepnęła: „Wejdźcie do toalety”. Tam spotkały się i porozmawiały, i od tego czasu umawiano kolejne takie spotkania, umożliwiające dostarczenie do obozu jakże cennej literatury biblijnej oraz różnych wiadomości.

Byłyśmy wdzięczne Jehowie za Jego kierownictwo i ochronę podczas tych lat przeżytych w Oświęcimiu, zwłaszcza odkąd się dowiedziałyśmy, że mają tam miejsce najokropniejsze rzeczy, jakie sobie można wyobrazić. Przyjeżdżały pociągi załadowane Żydami i całe te transporty prowadzono prosto do komór gazowych! Przydzielono mnie kiedyś do pielęgnowania strażniczki, która pracowała przy komorach gazowych, i ta opowiedziała mi, co tam się dzieje:

„Ludzi zapędza się do jednego pomieszczenia, gdzie na następnych drzwiach znajduje się napis: ‘Do łaźni’. Pada rozkaz, żeby się rozebrali. Zupełnie nadsy przechodzą do ‘łaźni’. Drzwi za nimi zostają zamknięte. Zamiast wody jednak z pryszniców wydostaje się gaz”. Tak przeżywała wewnątrz to, co tam widziała, że poważnie się rozchorowała.

OBOZY I WYZWOLENIE

Od stycznia 1945 roku Niemcy na wschodnim froncie ponosili porażkę za porażką. W ramach ewakuacji obozów koncentracyjnych zaczęto przetrzucać nas z jednego miejsca na drugie. Po dwóch nocach i dwóch dniach marszu w kierunku obozu w Rogoźnicy (wówczas Gross-Rosen) na Dolnym Śląsku niektóre siostry były już zbyt wyczerpane, by iść dalej. Jakaż to była ulga, gdy w końcu na trzecią noc pozwolono nam położyć się w zatłoczonej stodole! Jedynym pożywieniem na całą drogę był niewielki chleb zabrany ze sobą. Żadna z nas nie wiedziała, czy przeżyje następny dzień marszu. Wówczas jednak wydarzyło się coś tak niezwykłego, że nigdy tego nie zapomnę.

Kiedy następnego dnia miałyśmy wyruszyć dalej, zauważył nas pewien lekarz z SS, u którego dawniej pracowałam, i zaczął wołać: „Badaczki wystąpić! Badaczki wystąpić!” Potem powiedział mi: „Postaraj się, żebyście tu były wszystkie”. W ten sposób zebrało się 40 sióstr. Poszłyśmy na stację kolejową i wysłano nas dalej pociągiem. Potraktowałyśmy to jako istny cud.

Pociągi były wówczas strasznie przepełnione. Trzy z nas jakoś przegapiły stację, na której miałyśmy wysiąść, i pojechałyśmy dalej aż do Wrocławia. Tam wysiadłyśmy i zasięgnęłyśmy informacji, jak dostać się do obozu. Kiedy dotarłyśmy do bramy, wartownicy długo, długo pokładali się ze śmiechu, a w końcu powiedzieli: „Tylko u Świadków Jehowy może się zdarzyć, żeby przyszli tutaj z własnej woli”. Wiedziałyśmy jednak, że gdybyśmy nie wróciły do obozu, przysporzyłybyśmy kłopotów reszcie sióstr.

W Rogoźnicy byłyśmy zaledwie dwa tygodnie, a następnie przetransportowano nas do obozu w Mauthausen koło Linzu w Austrii. Warunki były tam okropne. Po prostu stłoczono na jednym miejscu zbyt dużo ludzi. Brakowało wyżywienia, nie było nawet słomy do spania, a jedynie gołe deski. Po krótkim czasie trzeba było znowu jechać dalej, tym razem do Bergen-Belsen koło Hannoveru w Niemczech. Jedna z naszych sióstr umarła po drodze. Wskutek zupełnie fatalnych warunków panujących w tym obozie zmarło wtedy kilka sióstr, które do tej pory jakoś przeżyły transport.

Około 25 osób z naszej grupy zabrano jeszcze do innego obozu, podobno tajnego, zwanego Dora-Nordhausen. Pierwotnie był on przeznaczony tylko dla mężczyzn, przed nami jednak przywieziono tam również prostytutki. Niemniej komendant obozu powiadomił nadzorczynię, że tym razem przyjechały kobiety innego pokroju. W Dora-Nordhausen było nam trochę łatwiej. W kuchni dla więźniów pracował jeden z braci, który pilnował, żebyśmy dostawały dość przyzwoite jedzenie.

Wojna miała się ku końcowi. Przygotowano nas do transportu w kierunku Hamburga. Dostałam na drogę puszkę konserw mięsnych i trochę chleba,

mężczyźni natomiast nie otrzymali nic. Pewien brat z Polski był bardzo chory; dałam mu więc swoją porcję żywności. Później opowiedział mi, że to uratowało mu życie. Po drodze natknęliśmy się na żołnierzy amerykańskich i to oznaczało wolność. Eskortujący nas esesmani włożyli cywilne ubrania, które mieli ze sobą, pochowali broń i zniknęli. Wojna dla nas się skończyła.

Pamiętna to była chwila, gdy miesiąc później odnaleźliśmy się z Haraldem. Nigdy dotąd nie tuliliśmy się do siebie tak długo, ale przecież minęło pięć długich lat rozłąki.

KOLEJNE PRÓBY I BŁOGOSŁAWIEŃSTWA

Kiedy wróciliśmy do domu, znaleźliśmy na drzwiach kartkę z napisem: „Tutaj mieszka Jutta Abt. Rodzice jej są w obozie koncentracyjnym”. Jak to dobrze być w domu — zdrowo i cało! Przede wszystkim napełniała nas zadowoleniem świadomość, że pozostaliśmy wierni Jehowie.

Lata przeżyte w hitlerowskich obozach koncentracyjnych stały się dla mnie ważną lekcją. Nauczyłam się cenić, w jak znacznym stopniu duch Jehowy potrafi wesprzeć człowieka, gdy przychodzą największe próby! Przed aresztowaniem czytałam list pewnej siostry, która pisała, iż nawet w ciężkiej próbie duch Jehowy potrafi zapewnić niewzruszony spokój. Sądziłam wtedy, że chyba trochę przesadza. Ale odkąd sama to przeszłam, mogę potwierdzić z własnego doświadczenia, że napisała prawdę. Faktycznie tak się dzieje. Trudno to sobie wyobrazić, jeśli ktoś tego nie przeżywał. A u mnie jednak tak było. Jehowa pomaga.

Rozłąkę z córką znosiłam łatwiej, gdy pomyślałam o poleceniu, które Jehowa wydał Abrahamowi w sprawie ofiarowania syna (Rodz. 22:1-19). Bóg nie chciał przecież śmierci Izaaka, postanowił jedynie sprawdzić posłuszeństwo Abrahama. W moim wypadku, pomyślałam sobie, Jehowa nawet nie żąda ofiarowania dziecka, tylko żebym je zostawiła. Niewiele to znaczy w porównaniu z tym, co miał uczynić Abraham. Jesteśmy naprawdę szczęśliwi widząc, że przez wszystkie lata aż dotąd Jutta trwa wiernie przy Jehowie.

Radością i siłą dla mnie była zawsze wierność mojego męża. Właśnie za tę wierność Jehowie kocham go i szanuję. Zostaliśmy też za nią obficie nagrodzeni.



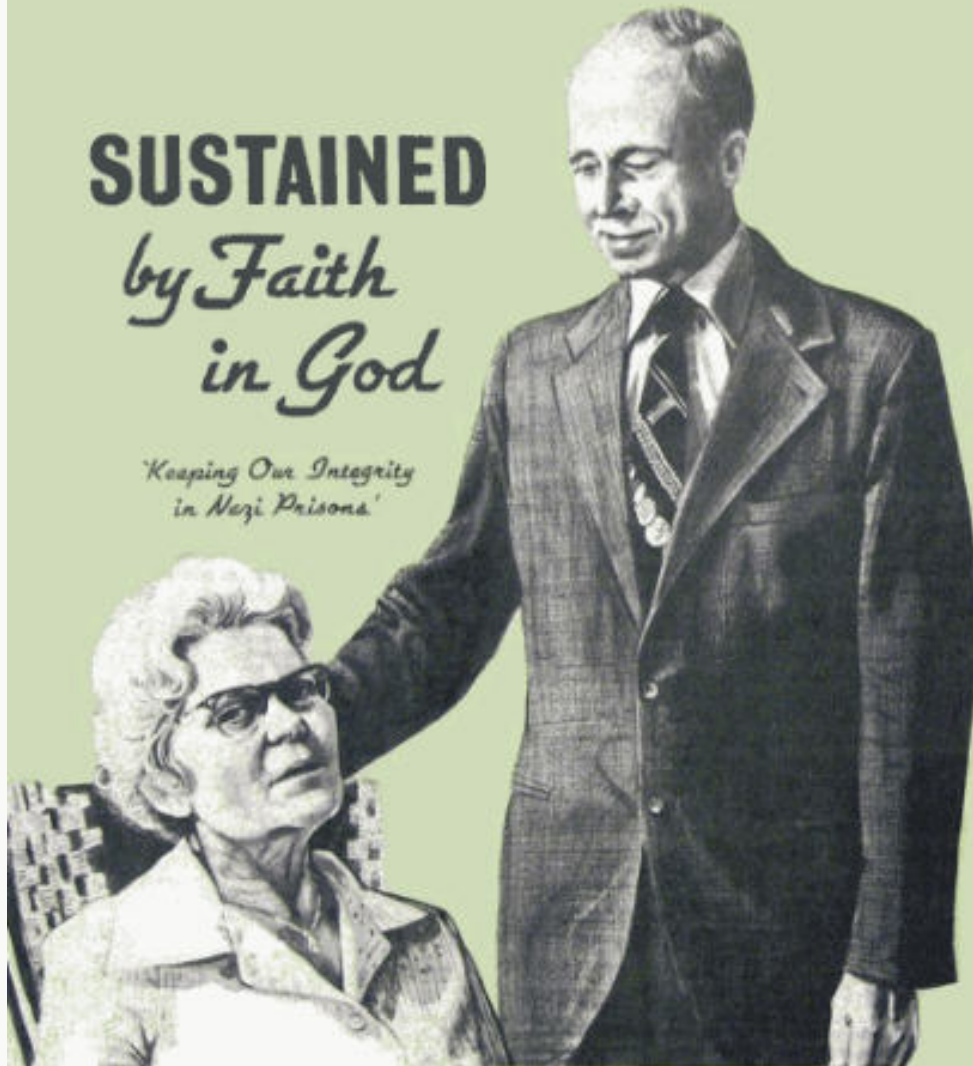
(Wspomnienia w języku polskim ze Strażnicy 1981, nr 1, s. 19-28)

APRIL 15, 1980

THE **WATCHTOWER**
Announcing Jehovah's Kingdom

SUSTAINED
*by Faith
in God*

*'Keeping Our Integrity
in Nazi Prisons'*



Okładka angielskiego wydania *Strážnicy*
z 15.4.1980, ze wspomnieniami
Haralda i Elzbiety Abt